

Janina Banachowska

Dochtórko RATUJCIEŻ!



Janina Banachowska

**Dochtórko,
ratujcież!**

REDAKCJA
Tomasz Kobosz

OKŁADKA I ILUSTRACJE
Marcin Skoczek

KOREKTA
Maria Suda

SKŁAD I ŁAMANIE
Mariola Włodarczyk

Wydanie I

© Copyright by Wydawnictwo „Sanitas”
Warszawa, 2007
www.sluzbazdrowia.com.pl

 **Sluzba Zdrowia**

DRUK I OPRAWA
MAGIC Lublin

ISBN 83-911246-2-2

**Mojej Córce Magdalenie
poświęcam**

Od Autorki

Urodziłam się w galicyjskim miasteczku. Odkąd sięgam pamięcią, chciałam być lekarzem i mieć dużo zwierząt. Nie dostałam się na wymarzoną medycynę z powodu złej przynależności klasowej. Ukończyłam więc najpierw medyczną szkołę pomaturalną i pracowałam jako pielęgniarka. Dopiero po latach poszłam na upragnione studia. A potem wyjechałam na wieś i rozpoczęłam pracę w ośrodku zdrowia. Kupiłam niewielkie gospodarstwo w górach, konia, krowę, owce, kozy oraz drób wszelaki. W gospodarstwie pomagał mi mąż, ja przyjmowałam chorych w ośrodku zdrowia, a na wizyty domowe jeździłam konno z moimi psami.



Z dobrym skutkiem stosowałam wiele metod, które wydają się zgoła gusłarskie, a mają źródło w ludowej medycynie, choćby psinę z żywokostem. Bo wiara pacjenta w wyleczenie to połowa sukcesu terapeutycznego. Ale mimo to nie radzę nikomu leczyć się takimi metodami. Rozpoznać chorobę i leczyć ma lekarz.

Nim osiadłam na wsi, pędziłam żywot dość barwny. Uprawiałam żeglarstwo, pływałam na jachtach pełnomorskich jako drugi oficer, brałam udział w regatach. Jeździłam konno, na nartach, chodziłam po górach, przemierzyłam autostopem całą Polskę.

Piszę od czasów szkolnych. Zamieszczałam swoje opowiadania, reportaże i felietony w wielu czasopismach.

„Dochórko, ratujcież!” to zbiór felietonów opublikowanych w ostatnich latach na łamach „Służby Zdrowia”. Nigdy by nie powstał, gdyby nie namowa, a potem ogromna praca Tomka Kobosza, który pomógł poskładać te felietony w jakąś dorzeczną całość i pocieszał mnie w chwilach zwątpień. Dziękuję, Tomku, z całego serca, nigdy Ci tego nie zapomnę!

Dziękuję również całemu zespołowi redakcyjnemu, a także panu Marcynowi Skoczkiowi za cierpliwe wysłuchiwanie moich uwag dotyczących ilustracji.

Janina Banachowska

Wiosna



Nareszcie zbliżamy się do wiosny. Co prawda prawdziwa wiosna ma do nas spory szmat drogi, ale już słychać śpiew ptaków, już szpaki kręcą się koło swoich budek. Zaczęły się wiosenne przeziębienia. Niby ciepło, ale zimny wiatr zawiewa, niby bywa słońce, ale takie jakieś zza chmur. Wszędzie już wytopiły się śniegi, tylko u nas, nawet we wsi, a nie tylko w lasach, śnieg się trzyma i nie ma zamiaru tajać. Zupełnie jak w tym powiedzeniu: u nas dziewięć miesięcy zimy, a potem lato i lato bez końca.

Minęło parę dni, spokojnych i bez innych pacjentów niż zagrypieni. Przy okazji i mnie zaczęło drapać w gardle. Toteż niemal z przyjemnością przyjąłem wezwanie do ostatniego domu we wsi do bólów brzucha. Naturalnie mieli przyjechać po mnie wozem, bo samochodem jeszcze tam nie dojedzie. Po godzinie zjawił się wóz, nawet nie na oponach z samochodu, jak tu wszyscy jeżdżą, a oryginalny, stary, pleciony wóz z kanapką dla gościa. Koła szprychowe z metalowymi obręczami, będzie się jechało paradnie, ale trząść będzie odpowiednio. Pacjentka leżała na tapczanie. Obok tapczanu stało wiadro, widocznie chora wymiotowała. Goldflam po obu stronach był ujemny, brzuch wzdęty, z bólem i obroną mięśniową w prawym podżebrzu. USG, które miała robione przed miesiącem, wykazało duży kamień w woreczku żółciowym. Widocznie teraz zablokował wyjście. Już pacjentka ma zażółcone oczy. Nie było innej rady jak zabrać chorą do szpitala. Niżej, do swoich krewnych zawiezie ją ten sam wóz, którym przyjechałam, a tam już karetka dojedzie. Gdy dotarliśmy do mojego domu, zatrzymałam chorą i podałam Buscolysin w zastrzyku, by ją tak bardzo nie bolało.

I telefon:

- Pani dochtórko, bo mojego w piersiach dusi, a nie chce iść do lekarza, czy byście nie przyjechała tak niby w odwiedziny, a potem to się już go zbada.
- Które to osiedle?
- Mrózki.
- Przyjadę.

Droga po zimie była bardziej dziurawa niż jesienią, a przecież w listopadzie ją naprawiali. Tyle że w listopadzie było trochę śniegu,

który drogowcy wymiatali z dziur. No i było trochę mrozu. Jakoś udało mi się ominąć większe dziury i dojechałam.

Pacjent leżał w łóżku, tyle że ubrany i kaszłał. Siadłam przy stole, pozwoliłam się poczęstować kawą i ciastami domowego wypieku. Wreszcie zapytałam:

- Co tak leżycie w łóżku w biały dzień i nie przy niedzieli?
- A bo cosik mnie zawiolo jagem obejście sprzątał i tera mnie dusi.
- To może was zbadam, jak już tu jestem.
- No faktycznie, możecie mnie zbadoć.

Żona pomogła mu się rozebrać, a ja przystąpiłam do dokładnego badania. Gardło miał żywo czerwone, w płucach świsty, trochę fureczeń. Przepisałam bańki, syrop z cebuli, Serevent, Bisseptol i syrop ze świerka.

Dopijałam kawę, gdy przyszła sąsiadka, że jej babka leży chora i ma duszności. Poszłam do babki. Siedziała na wersalce, tłumaczyła, że nie może się położyć, bo tak ją dusi. Już wchodząc usłyszałam świszczenie jej oddechu. W płucach miała całą orkiestrę, gardło czyste. Zapalenie płuc. Podałam Dexaven 8 mg i kazałam postawić bańki. Syropu ze świerka nie mieli, musi wystarczyć z cebuli, podprawiony nieco czosnkiem. No i smarowanie psim sadłem ze spirytusem kamforowym. Zapisałam Duomox, Serevent aerozol i Euphyllin.

Przyszedł pacjent z uczuleniem na pyłki. Zagorączkował, a na całym ciele ma ciemnoczerwone plamy. Uczulenie? Nie byłam w stanie stwierdzić, gardło miał czyste, płuca bez zmian. U nas już pyła drzewa, głównie brzoza i leszczyna, nie ma rady, trzeba wejść ze środkami przeciwalergicznymi. Skierowałam go do szpitala, bo trudno, by z tak daleka chodził na badania laboratoryjne. Został przyjęty do hospitalizacji, gdyż nie udało się postawić rozpoznania.

Parę miesięcy temu zgłosiła się do mnie pacjentka, ponadsiemdziesięcioletnia, z krwawieniem z dróg rodnych. Posłałam ją na cytologię, wyszedł jej czwarty stopień czystości, czyli ewidentny rak. Skierowałam ją natychmiast do onkologa, niestety na dokładniejsze badania chodziła z wielkim oporem, wreszcie zdecydowano, że ma brać „lampy” i chemię, ale z tego nic nie wynikło. Chora robi wszystko, by się nie leczyć. Przyczyny odkładania kuracji nie znam. Wy-

dawałoby się, że kobieta inteligentna, z wyższym wykształceniem, powinna sobie zdawać sprawę z ryzyka opóźniania kuracji, ale tu działa przeświadczenie, tak przynajmniej sędzę, że póki się nie leczy, to nic jej nie jest.

Obawiam się, że zechce się leczyć, gdy już będzie za późno. Nie potrafię jej tego przetłumaczyć, martwi mnie to, bo stoję obok i nic nie mogę zdziałać.

Nie cierpię poniedziałków. Jakoś nie mam do nich szczęścia. Z czterech zgłoszonych wizyt zrobiło się osiem, a na dodatek pierwsza – u półrocznego dziecka, u którego nie byłam pewna diagnozy. Umówiłam się na konsultację z pediatrą o pierwszej w ośrodku. Na wizyty wybrałam się konno.

Naturalnie, wszędzie gdzie byłam, dodatkowo musiałam przynajmniej pomówić ze starszyskami, które nie pojmowały, że jak się ma osiemdziesiąt lat, to i pamięć nie ta, i sił brakuje.

Zrobiło się późno. Zamiast jechać droga, ruszyłam skrótem przez las. Miałam na sobie nowe bryczesy i nowe buty do konnej jazdy, więc rozległe błocko na dróżce wprawiło mnie w autentyczny popłoch. Wolno, by się nie schłapać, skręciłam w lewo, pod same krzaki jeżyn, dla pewności odpychając je butem, by nie podrzeć spodni. Coś chrupnęło, stopa poszła do tyłu, bólu nie poczułam.

Ale wiedziałam, że noga jest złamana. Jadąc stępa i dobrze siedząc w siodle, złamać nogę potrafi tylko taki pechowiec jak ja.

Miałam dwa wyjścia: kilometr stromo w dół do domu lub niewiadomo jak, przez łąki – do ośrodka. Skierowałam się do domu.

Jakoś dojechałam. Na podwórko wprowadził mi konia sąsiad, zdjął mnie z siodła i zaniósł do mieszkania. Wylądowałam w rezultacie na urazówce. Założyli mi solidny gips.

Gips nie chce schnąć, bo gruby, ortopedzi się dziwią, gdzie jeździłam na nartach, bo mam typowe dla narciarzy spiralne złamanie obu kości podudzia. Nie chcą wierzyć, że przejechałam z tym konno taki szmat drogi do domu. Ale co miałam robić? Sama w lesie i na dodatek bez komórki. Komórkę postanowiłam kupić, do tej pory nie myślałam, że będzie mi potrzebna.

Za lekarzami w drzwiach nieśmiało pokazali się pacjenci. Jakoś mnie znaleźli, po wsi nowina się niesie jak głos po wodzie. Dwóm miałam wypisać wnioski do sanatorium, trzeci potrzebował zaświadczenia, że może już powrócić po chorobie do pracy.

– Kochani – uśmiechnęłam się nieszczerze – ja tu nic nie mam, kartotek, długopisu, pieczętek.

– Wiedzieliśmy! Wszystko jest tutaj – podali mi moją torbę lekarską. Co było robić, leżąc jakoś wypisałam wnioski. Pacjent po zaświadczenie przyjechał mercedesem, posłałam go do sekretariatu, żeby mnie wypisał ze szpitala. Doschnę w domu.

Załatwił!

Ordynator przyszedł z pielęgniarką niosącą kule, próbował tłumaczyć, że to nie ma sensu. Stanęło na tym, że oficjalnie jeszcze leże dwa dni, a wypis przyślą. I tak wróciłam w domowe pielesze.

Chora czy nie, nadal jestem lekarzem.

Przed południem przyszła młoda kobieta z ośmiomiesięcznym synkiem. Do ośrodka nie chce, bo dziecko się boi białych fartuchów, brało bolesne zastrzyki. Na pośladku dziecka ogromny, chlupoczący naciek. Najpewniej – skutek iniekcji.

– Jak pani to sobie wyobraża? Nie stanę inaczej niż o kulach, a nie mam dodatkowych rąk jak mrówka – broniłam się, ale jak zwykle uległam.

Mąż przyprowadził moją sukę, Doxę, ułożoną do dzieci. Położyłam obok siebie te 60 kg psa, mąż przykrył wszystko prześcieradłem, na to sporo ligniny i jałowej gazy. Narzędzia miałam jednorazowe, nie było problemu.

Rozebranego chłopczyka matka położyła na brzuszku, na Doxie, w ten sposób miałam dostęp do ropnia. Dzieciak zamiast płakać objął psa za szyję i usiłował ugryźć w ucho. W tym czasie zdążyłam naciąć, ewakuować ogromną ilość ropy, przepłukać solą i założyć sączek. Matka nałożyła opatrunek i obcisłe śpioszki.

Kazałam się zgłosić następnego dnia.

Nazajutrz kobieta z dzieckiem przyszła z samego rana. Gorączka u małego spadła, w nocy spał spokojnie. Teraz rozglądał się po mieszkaniu, niepewny, czy ma płakać, czy nie. Doxy nie było. Wybrał płacz. Zdjęłam opatrunek, obrzęk zmniejszył się o dwie trzecie. Ropienie znikome. Jeszcze raz przepłukałam solą, już nie zakładałam sączka. Poleciłam zmienić następnego dnia opatrunek u pielęgniarki środowiskowej, a pokazać się w sobotę.

– Tylko, gdyby mógł być pies... – nieśmiało prosiła matka – wtedy jest łatwiej.